



## Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska

część I z V

Sygnatura notacji: **N0077**

Data urodzenia: **8.08.1936 r.**

Data nagrania: **12-13.09.2007 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Gdańsk, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Antoni Lech Kujawski**

Czas nagrania: **część I: 77 min, część II: 60 min, część III: 60 min,**

Format nagrania: **video**                      **część IV: 9 min, część V: 37 min**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Nazywam się Krystyna Pieńkowska. Jestem nauczycielką, obecnie na emeryturze i mieszkam w Gdańsku. Urodziłam się w Wilnie. To bardzo może być długa opowieść, bo ja się urodziłam w Wilnie. To jest niezwykle miasto. To jest takie miejsce, do którego każdy, kto stamtąd pochodzi, jakoś tęskni i wraca. Jeżeli nie fizycznie, to myślami. Nie muszę przypominać już, co Mickiewicz czuł, kiedy go wygnano z ojczyzny, w jaki sposób Miłosz mówił o Wilnie. Kiedy dostawał nagrodę Nobla, wówczas wspominał o tym, że wychował się w mieście, które było stworzone według potrzeb i możliwości człowieka, na potrzebę i możliwości człowieka. I to jest takie miasto, które jest po prostu dla ludzi budowane przez wieki, przez lata całe, przez polską szlachtę, polskich królów. Bo była to przecież również siedziba królów polskich. Kocham Wilno i mogę o nim dużo mówić. Przez 40 lat nie było mi wolno tam pojechać, bo nie miałam nikogo z krewnych ani przyjaciół, bo kiedy moi rodzice opuszczali miasto, to ja miałam siedem lat, więc nie zostawiłam tam nikogo bliskiego. Zresztą oni nie pochodzili z Wilna. Moi rodzice pochodzili z kresów południowych, spod Lwowa. I wrócić tam, pojechać tam, było dla mnie trudne. To znaczy w ogóle niemożliwe, chyba że jakaś wycieczka orbisowska, której celem był Leningrad, Odessa, a gdzieś po drodze można było marginalnie tak zahaczyć o Wilno. Ale to mnie nie satysfakcjonowało w żaden sposób. Dopiero kiedy Litwa odzyskała niepodległość i my oczywiście też, otworzyły się dla mnie te granice i mogłam normalnie pójść do kasy, tam biletowej, gdzie kupuje się na przykład bilet do Kartuz czy do Żuchowa i poprosić bilet do Wilna. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, kiedy stanęłam w tej kolejce i powiedziałam: „Proszę do Wilna na jutro”. I tak mi się szczęśliwie ułożyło w życiu, że udało mi się uzyskać tam etat i to już był jeden z ostatnich etatów zatwierdzonych przez ministerstwo edukacji, ponieważ od następnego roku już ta umowa i ta współpraca została zerwana. Kiedy nauczyciele z Polski mogli przyjeżdżać do Wilna, żeby tam pracować. I udało mi się właśnie dostać pracę w szkole średniej

imienia Adama Mickiewicza. To była jedna z najpiękniejszych przygód mojego życia, bo te dzieci wileńskie to są zupełnie nadzwyczajne dzieci. Też bardzo niesforne, trudne do uchwycenia. Zresztą nigdy nie uczyłam dzieci, a tam musiałam zacząć od początku, od piątej klasy, dlatego że taki jest system, że do piątej klasy prowadzi jedna nauczycielka, a potem jest coś w rodzaju szkoły średniej, jak gdyby i od szóstej klasy właściwie, czy od piątej, już prowadzi inna nauczycielka. Ta, która prowadzi ich aż do matury. I taki był zamysł, takie było założenie. I ja właśnie dostałam te piąte klasy, dzieci, z którymi początkowo nie bardzo wiedziałam, jak sobie radzić, bo to było takie zupełnie nowe doświadczenie zawodowe, ale udało mi się. Nie od razu. Na początku byłam dla nich bardzo egzotyczna i trochę śmieszna. Ja ich trochę śmieszyłam, bo wielu słów nie rozumiałam, wiele słów używałam nie tak jak oni, bo przecież nie znałam ich języka kresowego. To jest zupełnie inny język. Nie znałam obyczajów szkoły, nie umiałam się połapać, jak się ocenia uczniów od jeden do dziesięciu w skali takiej, która u nas, to dla mnie było trudne. Kontakt był trudny dosyć, wzajemnie, bo ja też musiałam poznać, ich sposób bycia, ich oczekiwania, ich potrzeby. To wcale nie jest takie proste, jak się ma do czynienia z inną grupą ludzi, bo przecież trzeba pamiętać, że Polacy w Wilnie stanowią mniejszość narodową i to jest bardzo zobowiązujące, to jest bardzo trudne być mniejszością. Jednocześnie ogromnie obowiązujące, ponieważ w jakiś sposób reprezentuje się swój naród, oni mają tę świadomość. Właśnie ja to zrozumiałam, kiedy poznałam bliżej to środowisko Polaków tam. Więc ta moja roczna praca, roczny pobyt w Wilnie owocował wielkimi przyjaźniami. Teraz mam tam przyjaciół serdecznych i jedną z najserdeczniejszych przyjaciółek, którą uważam za siostrę, właśnie u której bywam przynajmniej dwa razy w roku, bo dzięki temu właśnie mogę sobie to Wilno tak przyswoić i pobiegać po tych swoich ukochanych miejscach. Wilno to nie tylko starówka. Wilno to podwóreczka, zaułki malutkie. Całe środowisko Polonii, to, które się tam koncentruje, które coś tam działa, to jest bardzo ciekawe środowisko, bardzo ciekawi ludzie, bo są to ludzie, którzy potrafią odnaleźć się dość szybko i sprawnie w tej nowej rzeczywistości. Ja pamiętam, jak przyjeżdżałam na samym początku historii Litwy, bo moim zdaniem historia Litwy zaczęła się od 1989 roku, od zdobycia tej wieży telewizyjnej i pierwszych ofiar [w 1991 r.], jakie Litwini ponieśli właśnie w walce o swoją wolność. I oni to bardzo pamiętają, i właśnie od tego momentu zaczął się również ogromny kryzys w Wilnie, kryzys ekonomiczny polegający na tym, że Rosja się po prostu odcięła od nich, więc wszystkie fabryki, przecież tam nie było nigdy żadnej, tak jak zresztą we wszystkich tych satelitarnych republikach, żadnej fabryki, która produkowałaby końcowy efekt czegoś, czyli całość, tylko jakieś podzespoły, coś tam, prawda, jakąś śrubkę robiła fabryka, tam jakiś detal, który potem składano w całość. I to wszystko zostało polikwidowane. Oni nie byli w stanie tego odtworzyć, jakoś tej całości. W związku z tym mnóstwo ludzi potraciło pracę. W ogóle nie było dochodu narodowego, więc była taka bieda straszna, że ja pamiętam, pojechałam tam na zaproszenie szkoły w Rukojniach. To taka podwileńska szkoła wiejska. I chciałam jakoś zrewanżować się ludziom za to przyjęcie, za tę serdeczność, jaką mi okazali i zaprosiłam ich do hotelu Letuwa. To był taki hotel najbardziej reprezentacyjny w Wilnie wtedy, na obiad. I pamiętam, jaki miałam problem, żeby jakoś skomponować to menu. Ani mięsa, ani jarzyn, ani nic nie można było tam zamówić. To był jakiś taki niesłychanie skromny i biedny obiad w takiej restauracji, która powinna właściwie reprezentować, już nie mówię kuchnię litewską, ale w ogóle jakiś poziom. Sklepy puste, już tak puste, że nawet nam wydawały się puste. To już proszę sobie wyobrazić, co się tam działo. Była po prostu bieda. I Polacy jakoś najszybciej się odchwycili. Dlaczego? Znali język polski, blisko im było do granicy, oni wyjeżdżali, mieli tam znajomych, krewnych i uprawiali ten drobny handel. Właśnie to był początek ich później wielkich fortun, bo ja znam człowieka, który jest tam reprezentantem na Litwę Fiata, na przykład, a jego żona prowadzi taką szwalnię, która szyje między innymi dla Kenzo, dla różnych bardzo znanych firm światowych i są to milionerzy. Mnóstwo takich ludzi właśnie,

którzy się tam szybko i sprawnie dorobili, to byli Polacy. Polacy tam przede wszystkim to jest środowisko, które studiuje. To jest środowisko inteligentkie i oni mają coś do powiedzenia. To nie jest margines. To jest Polonia, która się liczy, której głos się liczy, która potrafi wytworzyć własne środowisko kulturalne, tam jest teatr amatorski, ale funkcjonujący od lat, polski. I jest polski kościół, który skupia właśnie też to środowisko polonijne bardzo tak rzetelnie. Teraz jest ten dom polski, który senat ufundował. Ja nie wiem, bo tam nie byłam jeszcze i nie wiem, jak on funkcjonuje, ale podobno zespoły są jakieś, które tam właśnie korzystają z tego, biblioteki. Jak ja byłam w Wilnie, to tam właśnie była księgarnia polska, polska galeria obrazów i całe mnóstwo właśnie takich inicjatyw artystycznych, na szczęście akurat, i kulturowych, gazeta, oczywiście przecież wychodził ten „Kurier Wileński” i „Magazyn Wileński”. A teraz jest tych gazet więcej. Polskie również, takie okienko w radio i w telewizji. Tak że ta Polonia tam się liczy. To nie jest Polonia, oni nie lubią tego słowa, przecież oni uważają, że oni nie wyemigrowali, tylko Polska się odsunęła od nich po prostu, historycznie granice się zmieniły. To jest środowisko, które ma głos, potrafi się odezwać, potrafi zaistnieć. Tak że wie pan, trudno mi wymieniać jakieś nazwiska. Po prostu poznawałam ludzi, którzy tam działają. Na przykład rektora Uniwersytetu Polskiego, który, nie wiem, jeszcze funkcjonuje, ale jakoś nie bardzo może dokończyć studiów. Znaczący studenci nie bardzo mogą kończyć tam. Ja pamiętam, że jak ja tam byłam, to tutaj rektorem był Zbyszek Grzonka, naszego uniwersytetu i on bardzo jakoś tak był na Wilno ukierunkowany, nie wiem czemu, bo nie jest Wilnianinem, tylko Pomorzakiem i ta współpraca wyglądała w ten sposób, że studenci tam do trzeciego roku, zdaje się, studiowali w Wilnie, a potem przenosili się do Gdańska i na Uniwersytecie Gdańskim kończyli studia, dostawali dyplomy magistrów. Między innymi dlatego tak się stało, że oni... Tam nigdy środowiska polskiego nie było na uniwersytecie, takiego mocnego, i nie było komu jak gdyby doprowadzać do egzaminu tych studentów, prowadzić ich do egzaminu magisterskiego i nie było kadry naukowej. Ja myślę, że ta kadra już powstała, mam nadzieję, chociaż na pewno tego nie wiem.

**Antoni Kujawski:** To jakby ten fragment dotyczący pani wyjazdu jakoś był zarysowany, natomiast...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Jeszcze nie mówiłam o szkołach. Tam jest pięć szkół.

**Antoni Kujawski:** A, no właśnie, o szkolnictwie, bo pani miała jako nauczycielka bezpośredni kontakt właśnie...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Ze szkołą, tak.

**Antoni Kujawski:** ze szkołą, z młodzieżą, z rodzicami.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Przede wszystkim ze szkołą, tak. Tak. Więc pięć szkół polskich jest w Wilnie i te szkoły są tak bardzo, na tak dobrym poziomie, że pracują na dwie zmiany. To są jedyne chyba szkoły w Wilnie, średnie, które pracują na dwie zmiany z konieczności, nie dlatego, że są jakieś trudne warunki lokalowe czy inne. Tam zupełnie przyzwoity duży budynek szkoły, taki jeszcze budowany za komuny, standardowy, ale niestety tak wielkie jest zapotrzebowanie, że trzeba było pracować na dwie zmiany. To są dobre szkoły. Szkoła, w której ja pracowałam, to taka sztandarowa, Mickiewiczówka, wiadomo, ale na przykład Litwini sami ubolewali, ja to czytałam ten artykuł w prasie, że nie ma w litewskiej szkole klasy komputerowej, a w polskiej szkole jest i komu zawdzięczamy to? Właśnie

panu, który jest Kaszubem, już nie żyje. Był przewodniczącym towarzystwa... Nie Towarzystwa Przyjaciół Wilna, tylko jakiegoś towarzystwa ukierunkowanego na kresy. Już nie pamiętam tej nazwy. I sprzedał swoje ogromne gospodarstwo, żeby założyć specjalną fundację. I ta fundacja była właśnie nakierowana na Wilno. Znaczący na kresy wschodnie w ogóle i właśnie ta szkoła, w której ja pracowałam, otrzymała od niego komputery w takiej ilości, że mogli stworzyć klasę informatyczną. I dzieciaki to uwielbiały, chodziły tam od piątej klasy, to już biegały tam do tej komputerowej sali, gdzie można było sobie właśnie poobslugiwać komputery. Pytałam go właściwie, dlaczego on przyjeżdża aż do Wilna, żeby ufundować dzieciom taką rzecz. On powiedział: „Proszę pani, ja też jestem z Kresów. My, Kaszubi, też jesteśmy kresowiakami w jakiś sposób”. I ja to rozumiałam, kiedy poznałam lepiej historię Kaszubów. To prawda. Właśnie to jest ten sam etos ludzi, którzy muszą godnie reprezentować swoje środowisko, którzy muszą się trzymać, muszą jak gdyby bardzo mocno trwać przy swoich wartościach, religii, wartościach, kodeksie jakimś moralnym, który sobie stworzyli, obyczajach. To wszystko Wilnianie mają i to samo mają Kaszubi. Ja tutaj żyjąc na Kaszubach, bo jestem człowiekiem dwóch ojczyzn. Jestem zakochana w Kaszubach tak samo jak w Wilnie, żyjąc tutaj i poznając tych ludzi, przyjażniąc się z nimi, rozumiałam, że to są bardzo podobne środowiska.

**Antoni Kujawski:** Czy mogłaby pani wymienić nazwisko tego fundatora komputerów?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Właśnie to zapomniałam. Zapomniałam to nazwisko, wie pan.

**Antoni Kujawski:** To może później się przypomni.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Może. A może się dowiem od kogoś. Pamięć mam zawodną.

**Antoni Kujawski:** Czy w tym kontekście wileńskim jeszcze coś o swojej rodzinie i swoich wileńskich korzeniach?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Proszę pana, jak już powiedziałam, moja rodzina z Wilna nie pochodzi. To są Lwowiacy, ponieważ oboje byli nauczycielami, takimi zapalonymi, takimi bardzo do swojego zawodu przekonanymi, znaleźli się na Kresach Wschodnich, bo tam było mało chętnych. Moja mama, kiedy prosiła o przydział, to powiedziała, że chciałaby być jak najbliższej stron Mickiewicza. I dostała w Nowogródku posadę, więc jakby bardzo blisko Mickiewicza i jego stron ojczystych, i jej się marzenie w jakiś sposób spełniło, i tam poznała ojca, również młodego nauczyciela, który też taki właśnie zapaleniec. Potem kończyli oboje studia, Instytut Pedagogiki Specjalnej, który prowadziła pani Grzegorzewska i pracowali właśnie już w szkołach specjalnych, które zakładali w tym czasie. Okres międzywojenny to był okres wielkiej rozbudowy polskiego szkolnictwa. Właśnie postawiono przede wszystkim na szkolnictwo, na oświatę i właśnie między innymi powstały wówczas szkoły dla dzieci w jakiś sposób z deficytami, jak to się dzisiaj mówi, po prostu upośledzonych, ociężałych umysłowo, recydywistów, a także dzieci głuchoniemych, niewidomych, przewlekłe chorych. To wszystko, co przedtem było jakby zaniedbywane, niezauważane, zostało podźwignięte właśnie w okresie międzywojennym i moi rodzice byli takimi pionierami tego w Wilnie. W czasie wybuchu wojny, to ja tam miałam trzy lata akurat, jak wojna wybuchła, więc nie za wiele pamiętam, ale wiem, że ojciec mój był przez cały czas okupacji, tej różnej okupacji, bo to się u nas zmieniało co parę lat, ktoś tam... Raz była Rosja, raz byli Niemcy. Front przechodził kilkakrotnie przez Wilno. Mój ojciec był w Armii Krajowej, w AK. Ja nie bardzo wiem, co robił,

ponieważ później po wojnie, już czasy też nie sprzyjały takim opowieściom i takim wyznaniom. Rodzice o tym ze mną nie rozmawiali, ale to wiem, tak się orientuje, że robił prawdopodobnie to, co i ja robiłam w stanie wojennym. Pracował przy wydawnictwie gazety, pisma podziemnego. Bo to właśnie się zachowało, jakoś tam niektóre te gazetki gdzieś tam żeśmy znajdowali z bratem pochowane. Więc sytuacja moich rodziców była trudna. Poza tym jako nauczyciele, przez całą okupację prowadzili tajne nauczanie i ja pamiętam, że mając lat pięć znałam ballady Mickiewicza na pamięć, bo za ścianą chłopcy recytowali, bo się musieli tego uczyć i wydawali lekcje, że tak powiem. Ja, słuchając tego, też się uczyłam. Moi rodzice oczywiście jako nauczyciele zaangażowani, zaniedbywali swoje dzieci. Ja na przykład, mając lat osiem, uczyłam się czytać na słowie „biblioteka”, bo to było napisane naprzeciwko mojego domu wielkimi literami, a potem pierwsza książką, którą zaczęłam czytać, to były „Dzieje grzechu” Żeromskiego. Tak że nie zniechęcałam się mimo to, do literatury. Chociaż to nie było specjalnie zachęcające dla sześciu- czy siedmioletka. Ale właśnie byłam, że tak powiem, dana całkowicie sobie samej. Kiedy przyjechaliśmy tutaj do Gdańska, w 1945 roku, to ze względu na mój wiek, już miałam osiem lat, dano mnie do trzeciej klasy chyba albo do drugiej, już nie pamiętam. Gdzieś tak wysoko trafiłam. I oczywiście nie umiałam nic, nie umiałam tego, co inne dzieci. O słupkach to już w ogóle mowy nie ma, a pisałam tylko drukowanymi literami, bo innych nie znałam i miałam ogromne zaległości, tak że musiałam jakoś tam przebrnąć przez ten pierwszy rok nauki, nauczyć się przyzwyczajenie pisać i do końca życia miałam problemy z matematyką, bo już od samego początku nie umiałam tego, co inne dzieci. Ale to dygresja.

**Antoni Kujawski:** A sam wyjazd z Wilna, czy pamięta pani...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Pamiętam bardzo dobrze.

**Antoni Kujawski:** Gdyby zechciała pani to...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Bardzo dobrze pamiętam. To był niesłychanie dramatyczny wyjazd.

**Antoni Kujawski:** opowiedzieć.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Mój ojciec był poszukiwany przez wszystkie policje tego świata i zarówno NKWD, jak i gestapo. W związku z tym musiał wyjeżdżać nielegalnie i to szybko. I już ukrywał się oczywiście, i cała kamienica była poinformowana, że ma mówić jakby coś, że mój ojciec opuścił matkę jeszcze przed wojną i w ogóle się nie pojawia w domu, i taka wersja obowiązywała, i udało się zdobyć jakieś papiery, jakaś kobieta, która wyrobiła sobie papiery, umarła przed odjazdem transportu i to był trzeci transport, zaraz początek. Więc ci właśnie współtowarzysze mojego ojca dali mu te damskie papiery na jakieś imię, Jadwiga, pamiętam, miała ta pani na imię i powiedzieli: „Słuchaj, masz litr samogonu i masz obrączkę”, bo mój ojciec nawet własnej nie miał. To wszystko w czasie wojny poszło na różne cele. „Jak będzie niegramotny ten pierwoszczyk, to przejedziesz, a jak nie, to może go przekupisz i upijesz. A jest jeszcze trzecie wyjście, kula w łeb” i taka była perspektywa. Myśmy wtedy, kiedy ojciec wyjechał i szczęśliwie przebrnął, czego nie wiedzieliśmy, bo przecież żadnej łęczności, żeśmy złożyli papiery, mama złożyła papiery o wyjazd i udało nam się wyjechać dopiero 13. transportem, więc to już minęło kilka miesięcy. Ja pamiętam jak tata przyszedł się z nami żegnać, to była Palmowa Niedziela i ojciec przyszedł z brodą. Pierwszy raz

w życiu widziałam go z brodą. Prawie go nie poznałam. Miał bardzo silny zarost. Miał ciemne, bardzo silne włosy, więc ta broda taka jak Rumcajs, ogromna i żegnaliśmy się w Łazience, bo już do mieszkania nie mógł wejść. Przez ostatnie kilka tygodni mieszkało u nas już NKWD, już oni się wprowadzili i czekali na nasz wyjazd w tym samym mieszkaniu, bo jakby ciągle spodziewali się, że ojciec może jeszcze przyjdzie. I pamiętam jak ześmy się tam do tego transportu ładowali. Oczywiście wszystko, co najcenniejsze, na przykład książki, to, co ojciec kochał najbardziej, miał ogromną bibliotekę pedagogiczną, to musieliśmy zostawić. Wiem, że po pierwsze były jakieś ograniczenia w ilości bagażu, a po drugie moja mama była drobną kobietą, niezbyt silną i mój brat miał wtedy 14 lat, był malutki, bo zaczął dopiero rosnąć po przyjeździe do Polski i ja to już się w ogóle nie liczyłam. Ta trójka musiała sobie poradzić z tym bagażem, z tym wszystkim, więc mama wzięła tylko to, co najpilniejsze na podróż. Trochę zdjęć, trochę jakichś pamiątek rodzinnych, ale tak bardzo wszystkiego niewiele. I zapakowała taki duży kosz na bieliznę. Z tym koszem, jakimś tam kilogramem słoniny i bochenkiem chleba ładowaliśmy się do tego pociągu. A to były takie zwykłe bydłące wagony, otwierane takie. Jest taki pociąg z takimi wagonami w Szymbarku, właśnie przewożący zesłańców. To były takie same pociągi dla repatriantów i dla zesłańców. I pamiętam że tam byli ludzie ze Zwierzyńca. Zwierzyniec to jest dzielnica Wilna, taka niewiejska, niemiejska. Tam są domki jednorodzinne, ludzie tam hodowali prosiaczki, świnki, kury, co tam mieli, to jacy ludzie mieszkali, tacy właśnie już półwiejscy. I pamiętam, właśnie akurat tam była cała taka jakaś wielka rodzina, czy rodzina i przyjaciele, cały ten wagon już był załadowany, jakaś koza tam jechała, jakieś koguty w klatce. Ogromna ilość tych rzeczy. Już tam się nic nie mieściło i myśmy usiłovali ten kosz wepchnąć. Oni jak zobaczyli, ci ludzie, którzy się znali, przyjaźnili z sobą, byli swoimi krewnymi, zobaczyli trójkę zupełnie obcych ludzi, od razu okazali nam niezyczliwość, od razu byli wrogo do nas nastawieni. Ale ten kosz jakoś tam udało się wcisnąć. Ja na tym koszu siadłam i już mamy jechać. Oni się... Przed wyjazdem sobie popili zdrowo i wszyscy już byli mocno pijani. I nagle się okazało, że musieli znaleźć kogoś winnego. Tym winnym byliśmy oczywiście my. Mój brat i moja mama. Kiedy pociąg zaczął jechać, to oni postanowili, że: „To pewnie ci białoruczki, to oni są wszystkimu winni, inteligencja”. Myśmy się różnili od nich bardzo. „To jest ich wina, to tego, a wyrzucimy”. I złapali mojego brata, i zaczęli go wypychać z tego otwartego pociągu, te drzwi były otwarte. On się trzymał jakiejś tam takiej poręczczy czy czegoś. Mama stała biała jak ściana, nie mogła przecież nic poradzić. Tych trzech silnych chłopów wypychało tego dzieciaka na tory z pędzącego pociągu. I wtedy moja mama stanęła w drzwiach. To bardzo dobrze pamiętam. To był bardzo dramatyczny moment. I tak jak codziennie wieczorem z nami, zaczęła głośno odmawiać „Pod Twoją obronę”. Oni się uspokoili, zostawili chłopaka w spokoju i od tego momentu już nie byliśmy ich wrogami. Pomagali nam do końca. I pamiętam jeszcze drugi taki moment niesłychanie dramatyczny, kiedy dojeżdżaliśmy do granicy polskiej. Ja nie pamiętam jak długo to trwało, bo myśmy w sumie kilka tygodni tym transportem wędrowali przez Polskę. To był chyba Białystok, ta pierwsza stacja polska i tam właśnie mama moja spodziewała się spotkać ojca, ale nie mówiła nam tego, bo nie chciała nas tak właśnie narażać na taką emocję strasznie silną. I pamiętam właśnie to pierwsze spotkanie z Polską. To był taka budka strażnicza, biało-czerwona, w biało-czerwone pasy i żołnierz wyszedł. Nie w tym sołdackim ciężkim szynelu, tylko w owijaczach, jakiejś takiej krótkiej kurteczce. Zupełnie inaczej wyglądał. W rogatywce był. To już wiedziałam, że to jest polski żołnierz. I pusty peron, na pustym peronie szedł do nas mężczyzna z pledem przerzuconym przez ramię, nie miał żadnego bagażu, miał tylko pled przerzucony przez ramię, jakąś teczuszkę, to był mój ojciec. Piękne było spotkanie z Polską. Potem byliśmy w Inowrocławiu chyba przez kilka tygodni czy kilka miesięcy, nie pamiętam. W każdym bądź razie dość długo, co najmniej dwa miesiące. Pierwszy raz w życiu wtedy zetknęłam się z pluskwami. Mieszkaliśmy w takich barakach, które podobno jeszcze istnieją. Muszę tam pojechać kiedyś

i zobaczyć. Słóczeni, tam po kilka rodzin w jednym pokoju i straszliwe pluskwy nas wtedy żarły, pamiętam, to było okropne. I tam potem każdy szukał sobie jakiegoś miejsca. Inowrocław nie przyjął nas życzliwie. Oni właściwie nas traktowali jako zło konieczne, takich ruskich, którzy przyjechali tutaj zabierać nam miejsce, w ogóle byli na nas źli, jakoś tak myśmy byli brudni, tacy biedni. To im się wszystko nie podobało, oni byli tacy... To przecież Kujawiacy, wiadomo. Ojciec mój pojechał raz i drugi, jak to się wtedy mówiło, na szaber ale szabrować biedak nie umiał, bo przywiózł cztery zepsute żelazka elektryczne. Najgorsza rzecz, jaką mógł przywieźć, bo to ciężkie i nieporęczne, i nikomu niepotrzebne właściwie. I karawaniarski płaszcz. Płaszcz karawaniarski długi, czarny, który nosił jakiś tam, jakiemuś biedakowi podarowaliśmy. On w tym chodził potem. Ale za trzecim razem ojciec tutaj się odnalazł. Przyjechali już jego koledzy, również tam nauczyciele z tego samego środowiska, zaczęli tutaj organizować polskie szkolnictwo i ojciec się wciągnął, zajął jakieś mieszkanie, dokładnie takie jak mieliśmy w Wilnie, cztery pokoje i ściągnął rodzinę do Gdańska. Tak że od tego momentu już zaczyna się nasza historia gdańska. Ojciec mój nigdy się nie ujawnił jako akowiec. Chyba mądrze. Nie miał problemów za to z bezpieczeńką. Zresztą całe to środowisko się nie ujawniło, nauczycielskie i oni tutaj byli jak gdyby pierwszymi prekursorami, którzy organizowali polskie szkolnictwo. Tam był właśnie pan Młynarczyk, późniejszy wojewoda i ojciec, i jeszcze kilka osób. Ojciec mój był pierwszym inspektorem na województwo gdańskie. Zakładał te szkoły wiejskie i pamiętam taką sytuację, kiedy kiedyś miał służbowego konia z Unry i bryczką. I jeździliśmy tą bryczką po różnych miejscach. Do dzisiaj w świętym Wojciechu jest ulica, która się nazywa Inspektorska. A to właśnie z tego tytułu, że ojciec mój tam zajął domek. Domek był nieduży z wielkim i pięknym sadem. Dlatego, że mój dziadek był sadownikiem i miał też domek w Stanisławowie. Więc uważaliśmy, że jak się przeprowadzą, to przeprowadzą się do równorzędnej siedziby, ale dziadkowie zdecydowali inaczej i zostali z drugą siostrą na Śląsku, z drugą swoją córką. Więc myśmy się szybko z tego domku wynieśli, bo tam mieszkaliśmy tylko przez jedne wakacje, ale do dzisiaj ślad po ojcu taki został właśnie w tej nazwie. Domek jeszcze istnieje. Niedawno tam byłam i widziałam go. Tylko sad został chyba już zniszczony. To pewnie były bardzo stare drzewa i już trzeba było je wyciąć. To już teraz się pogubiłam, bo już nie wiem, o czym. Aha, o ojcu jeszcze chciałam powiedzieć właśnie, że kiedy jechałam z nim tą bryczką, ojciec zatrzymał konia i pokazał mi takie drzewo, które było ze śladami kul. Powiedział: „Tutaj do mnie strzelali”. Tak że nie były to bezpieczne te pierwsze lata zakładania szkoły tutaj na... No, w województwie gdańskim.

**Antoni Kujawski:** A czy coś dokładniej opowiedział, kto do niego strzelał, z jakiego powodu?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Nie, nie wiedział. Po prostu się schował gdzieś, gdzie się dało, do jakiegoś rowu wskoczył. Nie wiedział, kto strzelał, w każdym razie nie mówił mi, ale właśnie tak wyglądały początki.

**Antoni Kujawski:** Ukończyła pani edukację w Gdańsku. Czy o coś o swoich latach...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Szkolnych?

**Antoni Kujawski:** szkolnych, takiego, co by niosło ślad historii tych lat.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Już powiedziałam, początki były bardzo trudne, ponieważ ja miałam braki edukacyjne. I akcent oczywiście, inne słownictwo, inny akcent. Ja mówiłam...

**Antoni Kujawski:** Piękne wileńskie słownictwo.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak, ale to się moim rówieśnikom nie podobało. Oni mnie wyśmiewali. I ja właściwie miałam dosyć trudny start szkolny. Potem rodzice, z tego właśnie tytułu mnie przenieśli do szesnastki, tutaj to było koło dworca, wtedy była ulica Dworcowa, się nazywała. Ten budynek jeszcze istnieje, ale nie wiem, co tam teraz się znajduje. Jakieś ognisko, nie wiem, coś tam jest. Otóż skończyłam tę szkołę i potem byłam, poszłam do drugiego liceum i tam niestety nie zachowywałam się zbyt dobrze, ponieważ z powodu moich chuligańskich wybryków i takiej właśnie rogatej bardzo duszy, wyrzucono mnie z tej szkoły. Po prostu musiałam zmienić już w drugiej klasie. Ale mimo wszystko ta przyjaźń nasza, przyjaźń z tą klasą, która została rozwiązana, bo to była jakaś taka bandycka klasa, najpierw trzeba było klasę rozwiązać, potem tych prowodyrów usunąć. Tam nas sześcioro usunęli z tamtej szkoły, ale ja wróciłam do niej potem, po latach. Otóż... Nie były to jakieś specjalnie tak chwalebne lata mojej edukacji ani w życiu. Chociaż nigdy nie zrobiłam nic takiego, co by mogło być w moim przekonaniu niedobre, bo ja się na przykład ujmowałam za swoimi przyjaciółkami, które jeśli uważałam, że były niesprawiedliwie potraktowane, ja potrafiłam nawtykać nauczycielowi, że źle postąpił, bo akurat brzydko się zachował wobec kogoś, a na przykład zmarł tragicznie, został chyba zamordowany, brat mojej koleżanki. Ona po tygodniu czy po dwóch wróciła do szkoły strasznie przybita i nauczyciel ją zapytał, ponieważ ona dwa tygodnie nie chodziła i on musiał ją przepytac, żeby mieć stopień. Oczywiście dostała dwóję. Ja potem podeszłam do niego i powiedziałam, że: „Zachował się pan okropnie. Bardzo niesprawiedliwie pan postąpił” i on... Młody nauczyciel nie potrafił przejść nad tym do porządku, tylko się poskarżył dyrektorowi. Stale się skarżyli na mnie nauczyciele. Cóż, potem skończyłam studia, Wyższą Szkołę Pedagogiczną tutaj w Gdańsku. Żadnej przeszłości politycznej nie miałam. Tak że nawet represje, na które mogłabym się od biedy powołać, były czysto uzasadnione i uzasadnione z powodów nieobyčajowości.

**Antoni Kujawski:** Upomniała się pani za koleżanką i słusznie.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** W moim przekonaniu słusznie. Niemniej jednak jak powiedziałam starej nauczycielce, starszej pani, że ma halucynacje, to już ona tego nie zdzierzyła.

**Antoni Kujawski:** Myślę, że to były drobne wybryki wobec tego, co teraz ponoć się w szkołach dzieje.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** To były drobne wybryki, bo ta szkoła była... Ona była i zła, i dobra, bo z jednej strony to była szkoła z lat stalinowskich, więc ciężko jak gdyby było tam... Ta atmosfera w ogóle była trudna i ciężka, ale z drugiej strony mieliśmy sporo bardzo dobrych przedwojennych jeszcze nauczycieli. Tam pracował na przykład i uczył mnie profesor Leon Wygonowski, znakomity polonista, ukochany nasz nauczyciel, który zresztą potem, kiedy odchodził na emeryturę, powiedział mi: „Słuchaj, ja bym chciał, żebyś ty przyszła po mnie tam uczyć. I tak się stało. Ja przyszłam po nim właśnie. On odszedł, ja przyszłam. Czyli przyjęto mnie z powrotem do tej szkoły. Jak nie drzwiami, to oknem wracam w swoje stare miejsca. No... Pyta pan o moją działalność antypaństwową, antysocjalistyczną, w czasie, kiedy uczyłam.

**Antoni Kujawski:** Patriotyczną.



**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Kiedy uczyłam. Więc szczęśliwie uczyłam polskiego. To jest przedmiot, który daje takie możliwości porozmawiania z uczniami i jakoś wpłynięcia na ich sposób myślenia o ojczyźnie, o uczciwości, o lojalności wobec swojego kraju. Bo przecież jak się czyta na przykład „Syzyfowe prace” albo „Pana Tadeusza”, to bez tego się nie da uczyć, na samej książce kucharskiej, z „Pana Tadeusza” się nie pojedzie przecież. I... I to był jak gdyby taki dobry początek tego. Poza tym ja jestem też zakochana w Gdańsku, nie tylko w Wilnie, ale także w Gdańsku i tę swoją miłość do Gdańska, do teatru, pasja moja, życiowa pasja to teatr wtedy był, do historii tego miasta. Ja to starałam się młodzieży wpajać od zawsze i oni to pamiętają, bo kiedyś było takie spotkanie po 20 latach i jedna z moich uczennic powiedziała mi: „Wie pani co, ja to mam w sobie teraz, że ja w każdą niedzielę z dziećmi idę po Gdańsku i ich oprowadzam, pokazuję im te różne miejsca ważne”. Tak że pracowałam jak umiałam najlepiej. Wydawało mi się, że to jest taki zawód, który daje możliwości uczciwej pracy, przyzwoitej i uczciwej pracy, bo to jest bardzo ważny zawód. Zawsze go traktowałam bardzo poważnie. No... Ale już tak w 1978 roku jeden z moich przyjaciół związał się bardzo blisko z KOR-em i na początek przynosił mi wydawnictwa stamtąd. Więc był „Głos”, był „Zapis”, był „Punkt”, poza tym „Biuletyn Informacyjny”. Już zaczęłam bardzo pilnie słuchać wtedy radia „Wolna Europa” i gromadzić te wszystkie bezdebitowe druki. Nie rozdawałam ich uczniom, ale dawałam swoim koleżankom w pracy, które uważałam za takie bardziej otwarte i myślące, mądre. I pamiętam, kiedy ten właśnie mój przyjaciel, on tak pracowicie, bo u nas tego jeszcze nie było, on tak pracowicie zapisywał na taśmie magnetofonowej fragment, całość właściwie „Archipelagu GUłag”, który był w tym czasie czytany w „Wolnej Europie” i on miał sześć takich taśm z tymi wszystkimi szmerami, szumami, hałasem całym, ale czytelnymi. Można było coś z niego zrozumieć. Ja to wysłuchałam, pożyczyłam to swojej koleżance polonistce. Ona mi to oddała i powiedziała: „Słuchaj, jeżeli jedna dziesiąta z tego jest prawdą, to to jest straszna prawda”. I wtedy ja powiedziałam: „Słuchaj, to jest jedna dziesiąta prawdy”, bo to jest tylko pamięć jednego człowieka, a to się działo w miliony”. Oczywiście nie uwierzyła, bo to było nie do uwierzenia. Myśmy wtedy tej historii zupełnie nie znali. I to dopiero ją odkrywaliśmy, i zaczęliśmy ją poznawać, to było zupełnie tak szokujące, że nie byliśmy w stanie tego zrozumieć. Nawet światli i mądrzy ludzie, otwarci na świat. Bo właśnie żyliśmy w takim zamknięciu, bardzo trudno było coś porównać, coś zobaczyć. Przecież świat dla nas był zabity deskami. I coraz to bardziej jak gdyby się... Zaczynało mi być ciasno w tym, że ja to wiem, a inni nie wiedzą, muszę to dawać ludziom. Dawałam. Zaczęłam to ludziom po prostu dawać do czytania. Ja nie wiem, czy to się rozniosło po całej szkole, czy nie, tego nie wiem, ale wiem, że jak się rozpoczął sierpień, to przyszedł do mnie kolega wuefista i powiedział: „Krystyna, zakładamy koło Solidarności. Rób listę”. To właśnie mnie powierzył ten pierwszy krok w Solidarność, naszego koła. Potem zaczęłam już chodzić na spotkania, poznałam tam właśnie Gwiazdów, poznałam Borusewicza, który był wtedy młodym chłopakiem. I całe mnóstwo innych działaczy. Znaczący założycieli z Wolnych Związków Zawodowych i takich ludzi, którzy się koło tego podziemia tam kręcili. Pamiętam, że były to spotkania typu, na przykład przyjeżdżał Barańczak, czytał swoje wiersze albo Lech Bądkowski miał jakąś prelekcję na temat historii Polski. Kuroń również przyjeżdżał czasami z jakimiś prelekcjami. Chyba uniwersytetem latającym tego się jeszcze nie da nazwać, ale były to jakieś takie początki w 1978–1979 roku. Kiedy wybuchła Solidarność, to ja byłam w Bieszczadach. Myśmy byli z rodziną w Bieszczadach i mój szwagier powiedział: „Słuchaj, coś się dzieje na Wybrzeżu, ponieważ pierwszy raz usłyszałam, że są przestoje w pracy w Stoczni”. Przestoje w pracy to już była rewolucja przecież. O tym, żeby jakkolwiek strajk, to nie było mowy, ale przestoje to już było bardzo poważne. Bardzo poważny sygnał, więc cóż, przerwaliśmy urlop i co tchu w piersiach, wracaliśmy do domu. I już pamiętam, że gdzieś tutaj pod Mrągowem, czy gdzieś tam, jak zobaczono, że to jest gdańska rejestracja: „Gdzie

państwo jadą?” „Do Gdańska” „A, to lać na pewno pełen bak benzyny”. Benzyny już nie było i były kartki, i było bardzo trudno się poruszać w ogóle. Myśmy jechali maluchem, mieliśmy wtedy malucha i pamiętam, że wtedy to był taki pierwszy sygnał w Solidarności, ludzi, w stosunku do Gdańska. Wracając do Gdańska, muszę mieć pełen bak, trzeba im to poza kartkami, że tak powiem, dać. I kiedy przyjechaliśmy, ja zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, mówię: „Słuchaj, wybieram się pod Stocznnię. Powiedz mi, co tam trzeba zawieźć tym ludziom?” Myślę, że ona mi zaraz wymieni chleb, masło, coś tam jeszcze. A ona mówi tak: „No, kwiaty...”. I to była pierwsza rzecz. Wtedy zrozumiałam, że to jest zupełnie co innego, że to nie jest taki zwyczajny robotniczy strajk, tylko coś bardzo ważnego, skoro trzeba tam z kwiatami do nich iść. Ale oczywiście zamiast kwiaty, to kupiłam papierosy, jakieś tam produkty żywnościowe i pogałam. I tak się zaczęła moja przygoda z Solidarnością, bo już tam potem od tej bramy nie odchodziłam prawie wcale. I tam właśnie przy tej bramie spotykaliśmy tych ludzi, których potem spotykaliśmy. To było to pierwsze miejsce dla ludzi, którzy chcieli odetchnąć wolnością. I od początku zarejestrowania Solidarności, zaczęliśmy działać. Jakoś tak się stało, ja nie wiem, jak to się stało, ja zaczęłam chodzić na te spotkania po prostu, żeby się z ludźmi spotykać i dowiadywać się, co się dzieje, co słychać. I na tych spotkaniach potem się już taka grupa ludzi jakby utworzyła, takie ściślejsze grono ludzi, którzy się ciągle spotykali, tam była Zosia Kuropatwińska, ludzi, którzy są obecnie w Gdańsku. Bo część wyemigrowała niestety, duża część tych działaczy z pierwszego rzutu, że tak powiem. Odchwycili się natchmiast i skorzystali z okazji. Ale ci, którzy zostali, Danusia Witowska, która ciągle pracuje w zarządzie Solidarności i przy wydawaniu pisma...

**Antoni Kujawski:** „Przegląd Oświatowy”.

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** „Przegląd Oświatowy”, tak. Krystyna Rzewuska, kilka z nas tam było. Akurat żeśmy się tam szybko poznały i stworzono, na razie jeszcze beze mnie, Komitet Założycielski Solidarności. Ten pierwszy załówek tego komitetu, to tam jeszcze nie zostałam dopuszczona, jeszcze byłam dla nich zbyt nowa, zbyt świeża. Ja jestem nieśmiała. Ja się bałam zabierać głos. Jakoś nie umiem tak publicznie występować, wiecowo i w związku z tym nie zaistniałam tak publicznie, tylko w niedużym gronie. Potem... Już nie pamiętam, datami nie będę operowała, ale powstał Komitet Założycielski i do tego Komitetu już zostałam włączona. Zaczęliśmy normalną pracę regulaminową. Taką statutową pracę związkową. Staraliśmy się właśnie wykorzystywać statut przede wszystkim. To, na co nam pozwalał statut, jakie też obowiązki na nas nakładał. Robiliśmy to wszystko, co trzeba było. Wiadomo, co robiła Solidarność w 1981 roku, w 1980 i 1981 roku. Ale ja byłam nauczycielką, więc też miałam jeszcze inne pole działania. Nie tylko związkowe, ale także i swoje zawodowe. Ja to przeniosłam na ten właśnie obszar. Dzieci, ponieważ zawsze mnie to interesowało, co robi młodzież i zaczęły wtedy powstawać takie szkolne parlamenty. Ja się w działalność tych parlamentów zaangażowałam, ponieważ właśnie bardzo słusznie Romek Lewtak który był naszym przewodniczącym, uznał, że to będzie moja działka, w ogóle to, co robi młodzież, współpraca z młodzieżą. To była bardzo intensywna współpraca, dlatego że młodzież, jak to młodzież, ruszyła bardzo spontanicznie do tej pracy. Oni u nas w komisji zakładowej drukowali, bo myśmy mieli sprzęt, oni tego jeszcze nie mieli wtedy. Tu współpracowaliśmy razem. No i... I ja wierzę zawsze w siłę słowa, wartość słowa i uważałam, że to, co mogę zrobić najlepszego, to jest właśnie przekazywać młodym ludziom swój entuzjazm, swoją wiedzę na ten temat i swoje przekonania. I jakoś tak się zdarzyło, że oni mi zaufali, że później, kiedy nastął stan wojenny, to oni się też do mnie zwracali. Ale ponieważ nauczyciel i ksiądz to są dwie najbardziej przez okupanta znienawidzone profesje, to kiedy nastął stan wojenny,

to ja byłam pierwsza do odstrzału i nie wiadomo właściwie, bo nie robiłam nic, co by mogło podpaść pod paragraf, bo wszystko to było legalne. Urządzałam na przykład z młodzieżą takie jakieś rocznicowe widowiska czy trudno powiedzieć, spektakle w szkołach, w kościołach, byliśmy również zaproszeni przez komisję zakładową Śląska i objechaliśmy właściwie cały Śląsk z programem o 1970 roku w Gdyni i w Gdańsku na Wybrzeżu. To był bardzo piękny program. Właśnie młodzież sama go wykonywała. Ja tylko zbierałam materiały do tego i bardzo entuzjastycznie przyjmowany przez ludzi, ale jednocześnie zgłosił się do nas, nie wiadomo skąd, nagle jakiś pan, który powiedział, że będzie naszym impresario. Ale się okazało potem, że to był ubek, który zawsze pytał: „To gdzie jutro jedziemy?” „Jutro jedziemy do Pszczyny”, na przykład. „Aha”. I on tam dzwonił, i odwoływał spotkanie. W związku z tym przychodziły na przykład cztery osoby, które się akurat nie dowiedziały o tym i... I w ten sposób nam utrudniał istnienie. Ale jakoś żeśmy się zorientowali w pewnym momencie, że to jest ubek i żeśmy się go po prostu pozbyli. Autokar odjechał, ubeka zostawiliśmy na środku drogi. Już od tego momentu mieliśmy komplety na widowni, bo tak było właśnie, że ja kiedyś nawet kazałam przenieść to spotkanie nasze z sali 400-osobowej do małej salki, takiej jakiejś tam, gabinetu jakiegoś czyjegoś, gdzie się mieściło 20 osób, bo akurat przyszło na spotkanie 20 osób, a nas było 14, czyli prawie pół na pół. Ale to było bardzo dobre i spotkanie właśnie takie bezpośrednio z ludźmi prawie kolana w kolana, bo siedzieliśmy, tu mało miejsca, więc ten kontakt był bardzo dobry, lepszy.

**Antoni Kujawski:** Czy ten pan przedstawił się, zdradził swoje nazwisko?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** On jakieś tam nazwisko wymamrotał. Ja nie pamiętam. Zresztą mnie to wtedy w ogóle mało obchodziło, ale to młody człowiek. On już do mnie zadzwonił do Gdańska, kiedy się dowiedział, że tam Komitet Śląski nas zaprasza to od razu zadzwonił i powiedział, że on właśnie jest tutaj skierowany przez kogoś. Już nie wiem, przez kogo. Żeby nam pomagać, że on się będzie nami opiekował, żebym ja z nim nawiązała kontakt, ale już nie było takiej potrzeby, bo on sam z nami nawiązał kontakt, jak tylko przyjechalśmy. I on cały czas nas pilotował. Tak że tam, gdzie właśnie szły drogą Solidarności informacje, tam ludzie przychodzili. W Katowicach mieliśmy pełne sale. Natomiast tam, gdzie już nawiązywaliśmy sami kontakty, to tam on działał błyskawicznie.

**Antoni Kujawski:** Czy praca z młodzieżą, taka właśnie teatralna, jak ona wcześniej wyglądała? Bo pani wspomniała, że teatr to był...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak.

**Antoni Kujawski:** Czy takie kontakty właśnie tego typu z młodzieżą wcześniejsze, czy wtedy to się...

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Tak. Zawsze. Wie pan, jak to nauczyciel polonista. Na każdą okazję robi akademię ku czci. Ja właśnie miałam parę takich możliwości, żeby zrobić akademię ku czci. Dyrektor zawsze mówił: „O, jak mi się to nie podobało, wie pani, to w ogóle było nie na temat”. To było na temat, tylko to trzeba było troszkę zrozumieć, na jaki temat ja opowiadałam. Więc zrobiłam... Pamiętam, że on mi już dał taką możliwość, w której wiedział, że ja się nie wykażę na 1 maja. Ponieważ myśmy wtedy, nam wtedy zabraniano brać udział w pochodach, tylko oficjalne pochody mogły się odbywać, więc ja wygrzebałam gdzieś materiały z tych pierwszych pochodów

pierwszomajowych, które się odbywały gdzieś tam w Stanach Zjednoczonych i bili ludzi. Policja biła ludzi. Więc...

**Antoni Kujawski:** To był rok który? O którym mi pani teraz mówi?

**Krystyna Trybusiewicz-Pieńkowska:** Więc to już były lata stanu wojennego. Znaczący dla mnie stan wojenny jest do Okrągłego Stołu. Ja to tak... Dla mnie to był okres podziemnej działalności. I to wtedy właśnie ja miałam takie historie. Biedny dyrektor, znowu mu się bardzo to nie podobało, bo tam nie było nic o Majakowskim, tylko o tym, jak bili robotników, którzy wyszli na ulicę. No. Więc internowanie to paskudny okres. Ja nie bardzo chcę o tym mówić, dlatego że 25 lat dojrzewała we mnie ta świadomość, że ja muszę o tym napisać, ale trudne to jest zmaganie z takim tematem. Trzeba... Niech się temat świeży, jak figa ucukruje, jak tytoń uleży. To jest tak właśnie jak Mickiewicz pisze. Trzeba poczekać. I teraz już to dojrzewa we mnie. Już mogę o tym pisać i chyba napiszę. Ale właśnie wie pan, tak w niedzielę wpół do szóstej bębienie do drzwi i „Kto tam?” „Milicja”. „Ale czego, panowie? Do kogo?” „Właśnie do pani”, bo ja się odezwałam, bo mój mąż oczywiście znał doskonale broszurkę o tym, jak się zachować w czasie interwencji milicji. Powiedział: „Przed szóstą panów nie wpuszczę, bo jest wpół do szóstej”. „To my drzwi wywalimy”. Ja się wtedy odezwałam: „Ale dlaczego chcecie wywalać drzwi? Co myśmy takiego zrobili?” Oni usłyszeli damski głos i „A my właśnie po panią”. Jeżeli po mnie, to w porządku. To tak spłynęło ze mnie to uczucie niepokoju. Sobie myślę, ja to ja. To tam... I otworzyłam im te drzwi, oni się zupełnie przyzwyczajali zachowywali. Wcale nie mieli zamiaru nic wywalać. Okazuje się, sami byli lekko spanikowani tą sytuacją. Trochę też speszeni, bo to w końcu, Boże mój, wyciągają człowieka z łóżka, kobieta już taka nie młoda i nie wygląda na margines społeczny, a oni tu przyszli mnie po prostu aresztować. Dwóch milicjantów i jeden w cywilu facet. Ja powiedziałam: „Proszę usiąść, nie będę was trzymać na mrozie, w końcu jest zima. Ale musicie poczekać, aż ja się ubiorę”, bo przecież nie będą mnie w koszuli tam ciągnęli. Oni bardzo chętnie poczekali. Powiedzieli, że dobrze, oni sobie poczekają, to się przynajmniej dowiedzą, co się dzieje, my włączymy radio i oni posłuchają „Komunikatu”. Włączyliśmy radio i tam jakiś głos zaczął nadawać. Ja już nie pamiętam co i kto, bo nie miałam wtedy głowy do tego, ale faktem jest, że ja byłam jedyną osobą z naszej 18, bo 18 nas wzięto, kobiet, z Wybrzeża, która miała zapasową bieliznę, zapasowe rajstopy, mydło, ręcznik, szczoteczkę do zębów. Czyli jak to potem ktoś nazwał, wyposażenie terrorystki. Wszystko, co było potrzebne na najbliższe kilka dni mnie, ja sobie przygotowałam i jakoś przytomnie wrzuciłam do torby. I ja nie wiedziałam, słowo Strzebielinek to było dla mnie zupełnie nowe słowo. Ja nie wiedziałam, że coś takiego istnieje. Tam na tym nakazie internowania było napisane, że miejsce, w którym będę, docelowe, to jest Strzebielinek. Wsiadłam do tego samochodu to była taka typowa suka, nie ten taki wielki samochód, tylko taki z krzesełkami w połowie, gdzie się przewoziło drobnych pijaczków. I właśnie widzę, że tych dwóch policjantów, jeden z nich prowadził, a drugi mu towarzyszył, są nie z Gdańska, oni się nie orientowali, nie wiedzieli, którądy mają jechać. Bo tak mieli jakąś, wyciągnęli jakąś taką małą karteczkę, wydartą z zeszytu i mówią: „Kierunek Gdynia”. Ja powiedziałam: „Panowie nie stąd? Nie z Gdańska?” „Nie, my z Gdańska”. „A, no, to jak z Gdańska, to nie muszę wam mówić, jaki jest kierunek na Gdynię”. I takie ciężkie dwa westchnienia usłyszałam tylko. Nie powiedzieli nic, tylko tak sobie westchnęli z głębi serca, ale wybrali słuszny kierunek, bo już niedługo, jak żeśmy wjechali w Grunwaldzką, to było widać sznur samochodów jadących w obie strony. Jedne już wracały, drugie jechały w kierunku Gdyni. No, cóż, Strzebielinek okazał się zwyczajnym więzieniem. Bo oni cały czas mi tłumaczyli, że to nie jest żadne więzienie, tylko miejsce odosobnienia, które właściwie chroni mnie przed nie wiadomo czym, ale teraz nie wiadomo, co się zdarzy, jest bardzo niebezpiecznie, może być bardzo niebezpiecznie w Trójmieście, więc oni chcą mnie po prostu uchronić przed tym całym niebezpieczeństwem.

A więc ja bardzo wdzięczna im za to, dałam się tam zawieźć i pierwsza rzecz, co przeczytałam to było: „Zakład karny w Strzebielinku”. I ja, szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziałam, co to jest zakład karny. Czy to jest to samo, co więzienie. Więc go zapytałam: „Czy pan mnie do więzienia przywiózł?”, a on mówi: „No, co też pani mówi, przecież to jest zakład karny”. Więc jak się drzwi otworzyły, te szare mundury tych strażników zobaczyłam i całe mnóstwo znajomych twarzy, takich znajomych z gazet, bo na przykład Mazowiecki tam był, tam była cała komisja regionalna. Nie regionalna, tylko krajówka, bo oni właśnie wtedy obradowali w Gdańsku i zgarnięto ich z hotelu. W nocy po prostu przyszli do hotelu i stamtąd ich wyciągnęli. Byli tam Gwiazdowie również i różni panowie ze stoczni, których też poznałam, a z kobiet w sumie było nas 18, z tym że nie wszystkie były z Gdańska, bo na przykład Grażyna Went była z Grudziądza. Nie z Grudziądza, tylko z Włocławka. Ale akurat obradowała, bo była z krajówki, więc ją wzięto przy okazji. Była też ze Starogardu dziewczyna. Ela Wieczorek się nazywała. To była jedyna prawdziwa robotnica, bo niby to był taki ruch robotniczy, ale jakoś niespecjalnie dużo robotników w nim było. I była też Iza Kobzdej, która była właściwie zakładniczką, bo Darek Kobzdej się schował, cały Ruch Młodej Polski ostrzeżony wcześniej, potraktował to ostrzeżenie poważnie i się schował. A oni przyszli do domu, nie było Darka, to wzięli Izę, młodą dziewczynę, która była na pierwszym czy na drugim roku studiów, zupełnie nieprzygotowaną, zupełnie niemającą nic wspólnego z opozycją bo tyle tylko, co przez brata nie działała, ale dobra była i taka, tak że parę osób takich zupełnie przypadkowych tam było wśród nas. I tam przeszliśmy przez taki procedurę więzienną, regulaminu więziennego. Zdjęcie z profilu, en face, odciski palców, takie, o, różne rzeczy, rewizja oczywiście osobista, ale myśmy sobie tak już wtedy nie pozwalały na to, powiedziałyśmy, że nie, absolutnie nie. I tam w tym Strzebielinku byłyśmy dobre. Po jednej stronie baraku mężczyźni, po drugiej kobiety, ale jakoś nam się udawało porozumieć. Na przykład na spacerach, ich okna wychodziły na ten spacernik, więc oni tam też wyglądali wszyscy przez te okna i tam się rozpoznawali: „A, jest ten ktoś”, „A tamtego nie ma, a gdzie on?” I tak ponad głowami tych klawiszy pilnujących nas, żeśmy się porozumiewali. To tak długo być nie mogło. Oczywiście już na drugi dzień kazano nam się zbierać w południe. Gdzieś w południe powiedzieli, że: „Proszę się pakować”. „Nie, nigdzie się nie spakujemy”, odpowiedziałyśmy, „Ponieważ nie dostałyśmy obiadu. Bez obiadu nie jedziemy w Polskę, bo nie wiadomo dokąd”, oni nam nie powiedzieli dokąd. Więc szybko tam zaczęły się przygotowania i przyniesiono nam tam do tej celi taki wielki pojemnik z grochówką I te wszystkie damy w futrach, w kapeluszach, tam przecież była Halina Winiarska między innymi, Grażyna Went w takim futrze, tam jakieś panie w kapeluszach do tej grochówki się przypięły z taką emocją, jakby to miał być ostatni nasz posiłek. I wtedy zawieziono nas, już był zmierzch, właściwie tak w krótki dzień w zimie, więc dość późne popołudnie, gdzieś godzina 4:00-5:00, 6:00 może, przywieziono nas na Kurkowę. Na Kurkowej było okropnie, bo tam przywitały nas psy i kazano nam się w dwuszereg ustawiać. Myśmy nie wiedziały jak to zrobić, w ogóle taki chaos powstał, krzyczano tam na nas. Ale jakoś żeśmy sobie poradziły, tak że żeśmy też zaczęły się upominać o swoje prawa. Mówimy, że: „Proszę na nas nie krzyczeć, my tu nie jesteśmy recydywistki” „Ale to jest więzienie dla recydywistów, tu się wykonuje wyroki śmierci”. Tak zaczęli nas straszyć, ponieważ jak myśmy tam stały na tym dziedzińcu wewnętrznym, 18 kobiet, takie stadko kuropatw, to mężczyźni zaczęli, jak zwykle w więzieniu, każda, że tak powiem, sytuacja jest ciekawa, zaczęli się wychylać i wołać: „Kto wy jesteście, kobitki?” Ktoś tam odpowiedział, że Solidarność. „Ach, Solidarność. To wam przyszło”. Taki głos współczucia usłyszałyśmy pierwszy raz właśnie od tych więźniów z Kurkowej. Niestety na Kurkowej też nie zagrzałyśmy długo, bo tam byłyśmy jedną albo dwie doby, już nie pamiętam. Słysząc było, przez okna nawet, nasze, musiały wychodzić na ulice te okna, ale były zablindowane, więc nie wiedziałam. Słysząc było czołgi i myśmy zapytały: „Co to za czołgi? Skąd one się tu wzięły?”,

a mówią: „Proszę pań, to nie są czołgi, to są transportery opancerzone”. I odpowiedź była taka, ale widocznie się troszkę bali, że mogą być jakieś rozruchy, coś się będzie działo. Zapakowali nas z powrotem do suki i wiozł do Fordonu. Fordon to już był długi przystanek, bo tam byliśmy prawie miesiąc. Jakoś tak w styczniu czy pod koniec stycznia, czy na początku lutego, nie pamiętam już, znowu nas zapakowano i pamiętam, wtedy już miałyśmy taki sygnał na spacerniaku. Tam gdzieś pracowali mężczyźni, bo to było... Fordon to jest najcięższe więzienie kobiece w Polsce. Tam jeszcze jest drugie gdzieś na południu Polski, ale tamto było, tam jest takie właśnie to na północ, dla recydywistek, dla morderczyń, dla takich właśnie kobiet. Bardzo źle nas traktowała komendant tego więzienia, ponieważ ona starała się nie dopuścić do tego, żeby między nami a więźniarkami nastąpiło jakieś porozumienie. I ona nas po prostu szczyła. Znaczą szczyła nami resztę tego, więc na przykład są święta, zbliżają się święta, więc jest nadzieja na przepustki. Wszyscy oczywiście ubiegają się o te przepustki i dostaje taka ilość osób, jaka jest jakby przewidziana w tej puli przepustek, ale oczywiście część osób nie dostaje i zawsze tak jest. Ale tym razem to było opatrzone takim komentarzem, że więcej osób przepustek nie dostanie z powodu obecności Solidarności tutaj. Więc żal, rozpacz, nienawiść. W końcu wyzwiska. To był jakiś koszmar. Albo na przykład pozwoliła nam skorzystać z kantyny, wykupić tam te jakieś w kantynie produkty, to dziewczyny chętnie bardzo, przed samymi świętami, bo to Wigilia za dwa dni, więc dziewczyny poszły do tego kantorka, wykupiły, co tam było i komunikat słyszemy w radio, że: „Z powodu tego, że kobiety z Solidarności wykupiły wszystko, nie ma nic więcej, nic nie będzie na Wigilię, żadnych tam dodatkowych przydziałów”. Te recydywistki, one się dały podpuszczać, tak że jak myśmy na przykład szły do kąpieli, to słyszałyśmy wyzwiska rozmaite pod swoim adresem, niecenzuralne i nie będę ich przytaczać. Kiedy miałyśmy jechać do tego, jakoś w więzieniu wiadomości się rozchodzą, nie wiem, w jaki sposób, ale się rozchodzą, nawet te najbardziej tajne. Jeden z tych ludzi, którzy tam przesypywał węgiel na tym podwórku, gdzie spacerowałyśmy, tak nas zaczepiał: „Kobiety z Solidarności, hej” I znowu jedno okrążenie, to tak trzeba po dwa słowa, przechodzimy znów koło niego: „Jutro was tu nie będzie”. Znowu. Następne okrążenie. „Albo amnestia, albo...” I to była trzecia wiadomość, którą... Ale nie wzięłyśmy sobie tego do serca specjalnie, dlatego, że licho wie właściwie, ile w tym prawdy. Jakiś facet od węgla nas informuje, że jutro nas tu nie będzie. Rzeczywiście jutro po obiedzie słyszemy komunikat: „Kobiety z Solidarności, proszę szykować się z rzeczami”. Więc rzeczy więzienne trzeba było zostawić, a swoje prywatne zapakować w torby i myśmy już wtedy miały swoje prywatne rzeczy, bo już nas rodziny odwiedzały przecież przed świętami i przed Wigilią, mój mąż twierdzi, że się ze mną nie zobaczył. On się rzeczywiście ze mną nie zobaczył, ale paczkę mi przekazał, tak że ja miałam od niego wszystko to, co trzeba mieć z domu. Tak że już jakiś koc miałam, te koce tam były okropne, własny, jakieś tam jeszcze... Aha, kubków nie miałyśmy, tylko miałyśmy stoiki po dżemie, bo pić z kubka aluminiowego jest bardzo trudno, gorący napój, to parzy w gębę, a stoiczek po dżemie, to było właśnie takie naczynie, jakie nam odpowiadało do picia herbaty. Podróż, oczywiście nie wiadomo dokąd, tylko pan oddziałowy, który nas odprawiał, dał nam do zrozumienia, że spotkamy się z białymi niedźwiedziami. „Jedziecie na białe niedźwiedzie, panie”. Faktycznie niezbyt daleko nas od białych niedźwiedzi wywieźli. „Macie tutaj prowiant na dwie doby”. Na dwie doby, to już był pierwszy sygnał, który nas zaniepokoił. W Polsce nie ma takiego miejsca, gdzie się jedzie dwie doby, więc gdzie nas wiozł? Te dwie doby to było tak z wyprzedzeniem, bo tam było pół kostki miodu sztucznego i chleb, jeden bochenek chleba. Podróż trwała długo, dlatego że w międzyczasie zepsuł się samochód, bo tam podwozie odpadło czy coś, te stare graty się psuły dosyć i trzeba było, oni tego nie potrafili sami naprawić. Trzeba było do wioski iść, wioska była kilka kilometrów od tego miejsca, gdzie samochód stał i sprowadzić kowala. Okazuje się, że był potrzebny kowal do tego. Więc parę godzin żeśmy stały na tym śniegu, zanim nas oporzędzono. Wyjść

oczywiście nie było można, bo to takie mały w klatce zakratowane, to pomieszczenie, gdzie siedziały więźniarki, tam było nas 13 czy 15, jakoś tak dużo bardzo, na takich wąskich ławeczkach siedziałyśmy. To nie było do przewożenia całodobowego ludzi, chociaż właściwie więźniowie, to mogą w każdych warunkach jechać. I myśmy nie wiedziały. Właściwie tak raczej zdawało nam się, że jedziemy na południe. W nocy to bardzo trudno jest określić, ale pamiętam, że ja ciągle pisałam karteczki takie. Miałam jakiś taki notesik, pisałam, że 18 kobiet z Gdańska, tutaj nazwiska wymieniałam, z Solidarności, wiozł w nieznanym kierunku. I wyrzucałam to przez dziurę w kiblu na szosę, ale nikt chyba nie znalazł, bo to biała karteczka na białym śniegu, wtedy był ogromny śnieg i to wszystko tam się kiłtało na tym śniegu. Tak że myślę, że raczej była to praca daremna. Ale w każdym razie czułam, że coś robię. Miałam taką świadomość, że staram się. Otóż... Lepiej miały dziewczyny z Wrocławia, bo je wożono autokarami. Ponieważ komendant z Wrocławia ciągnął wszystko, co żyje i zamykał w internacie, najwięcej kobiet było właśnie Wrocławianek w Gołdapi. I nie miał tyle widoczne sprzętu, w związku z tym woził je po prostu autokarami. I pamiętam, że opowiadały mi dziewczynki, że jechały i zatrzymało się w jakimś małym miasteczku, zatrzymał się ten autokar przed sklepem, one tam siedzą, a co ludzie przechodząc, spojrzą, to się uśmiechają i dalej idą, i znowu. Co się dzieje, przecież autokar jak autokar, nic takiego. A tymczasem któraś z nich wzięła i szminką wypisała „Internowane” I to włożyła za szybę, i one ze środka tego nie widziały, ale ludzie to przeczytali. Tak że w różny sposób dawałyśmy znać o sobie. Myśmy zresztą bardzo podobnie zrobiły, bo pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy, to jeszcze w Strzebielinie, z takiej ściereczki, którą nam tam rozdano do celów higienicznych, osobistych chyba, zrobiliśmy szminką napis „Solidarność” i wszystkie podpisałyśmy się tam swoimi nazwiskami, żeby w razie czego został jakiś ślad po nas i tam jest również moje nazwisko. I ta ściereczka z napisem „Solidarność” wisi na wystawie „Drogi do Wolności”. Tak że ja tam od czasu do czasu chodzę się wzruszać też, jak to zaistniałam w historii. Kiedy nas przewieziono do Gołdapi, to jeszcze przedtem, zanim nas tam przewieziono, to samochód stanął przed tablicą „Granica państwa”. I wtedy po raz pierwszy tak szeroko otwarto drzwi, żeby każdy mógł zobaczyć, przeczytać ten napis i zgłosił się wopista, zsalutował, powiedział, że on tu prosi dokumenty wozu i listę przewożonych osób. To już tak zabrzmiało nieładnie jakoś. Coraz to bardziej żeśmy się czuły za blisko Wschodu. Zrobiono coś w rodzaju odprawy takiej i jeszcze tak z pół godzinki samochód pokręcił się, pojeździł i stanęliśmy przed jakimś wielkim budynkiem, w bardzo pięknym miejscu, w lesie, świerkowym, wielkim, przewspaniałym lesie i budynek szary, ale już nie wyglądał na więzienie, bo były balkony wszędzie. Ale niestety, kiedy wychodziłyśmy, to stał szpaler żołnierzy, ja nie rozpoznawałam tych żołnierzy, bo oni wszyscy mieli jednakowe polowe szare mundury, czy to ZOMO, czy żołnierze, czy straż więzienna. Wszyscy bardzo podobnie umundurowani, z psami. Więc to przyjęcie było nieprzyjemne, takie psy, wojsko i ten cudowny krajobraz. Zapytałam tego, który tam wyglądał na komendanta, zapytałam, gdzie my jesteśmy. A on odpowiedział bardzo szybko: „A, to się pani dowie w swoim czasie”. Niegrzecznie odpowiedział, ale po polsku. Więc spłynęła ze mnie ta emocja taka straszna, że nas gdzieś za granicę wywiozł. Okazuje się, że wywieźli nas do ośrodka, który był 400 metrów od ruskiej granicy, więc bardzo niedaleko tego, co obiecywali, ale jednak w Polsce. Na początek byłyśmy tam tylko my, Gdańszczanki i panie z Warszawy. Panie: Halina Mikołajska, Anna Kowalska, Małgosia Łukasiewicz, same wielkie nazwiska. One zostały tutaj. Były pierwszymi gospodyniami tego miejsca, potem przywieziono nas, a potem już zaczęto przywozić codziennie jakieś mniejsze lub większe transporty. I tak właściwie już było do końca. Wypuszczano co jakiś czas niektóre osoby, bardzo rzadko, ale jednak wypuszczano i przyjmowano nowe, coraz to więcej. Tam było miejsc na około 400 osób albo 450, jakoś tak mniej więcej i wszystkie te pokoje były zajęte, były zapełnione.